

ZBIGNIEW KUBIKOWSKI



KATASTROFA

Zbigniew Kubikowski

KATASTROFA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-43-2

Copyright © Spadkobiercy autora

Tekst: Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1973

Projekt okładki: Marcin Labus

Fotografia na okładce przedstawia scenę z filmu „Katastrofa”, którego scenariusz powstał w oparciu o niniejszą książkę. Premiera: 1966. Reżyseria: Sylwester Chęciński. Autor zdjęcia: Tadeusz Kubiak. Właściciel praw autorskich zdjęcia: Filmoteka Narodowa – Instytut Audiowizualny. Osoby (aktorzy) na fotografii: Marta Lipińska (kreująca postać Hanki) i Stanisław Niwiński (kreujący postać Grzegorza Hulewicza).

I

Około szóstej nad ranem zadzwonił telefon. Myślałem, że to omyłka, podniosłem półprzysłuchawkę. Nie było omyłki. Mówił ktoś obcy, nie rozumiałem, nie chciałem zrozumieć, przerwał rozmowę wpół słowa. Usiadłem na łóżku, ścisnąłem rękami czoło. Za ścianą grało radio, jak co dzień, na stole szklanki z nie dopitą kawą, obok tapczanu otwarta książka, wszystko jak dekoracje do niedobrej sztuki, obce, odsunięte w głąb, zmatowiały. Spojrzałem w okno: szare, kleiste chmury, mgła.

Umyłem się, ubrałem, po kwadransie zbiegłem ze schodów, wyszedłem przed dom. Samochód już czekał, krępa, niebieska warszawa. Ruszyła ostro, zanim zdążyłem zatrzasnąć drzwiczki.

– Kiedy to się stało? – zapytałem.

Rowicki podał mi ognia, był nie ogolony, blady.

– Mniej więcej godzinę temu – powiedział – o nic więcej nie pytaj, wiem tyle, co ty.

Oblepione ludźmi tramwaje, mokra jezdnia, poprzecinana jasnymi liniami szyn, szare frontony kamienic, śmieszne, jakby przylepione do tła sylwetki przechodniów, ryk fabrycznej syreny, nie, to karetka pogotowia, z przeciwnej strony, niski, zawodzący jęk osunął się w głąb ulicy, za nią druga, trzecia.

„Stamtąd” – pomyślałem.

Poczułem na sobie wzrok Rowickiego, spojrzałem na niego, uśmiechnął się blado.

Nie chciałem, nie mogłem rozmawiać. Byliśmy już na wylotowej ulicy, zerwał się wiatr, miotło w szyby kropelkami deszczu, szofer włączył wycieraczki. Chmury kotłują się przed nami, tuż nad nawierzchnią, to mgła, trzeba zwolnić, zapalają się światła pojazdów, rozmazane w tej mgle, drżące, żółte, jak kłęбки barwnej waty. Znowu syrena, tym razem za nami, szofer zjechał w prawo, zahamował, ktoś przebiegł tuż przed maską.

Wreszcie zakręt, jeden, drugi, asfalt przechodzi w kostkę, mgła rzędzie, pisk hamulców.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział szofer.

Siedzieliśmy jeszcze chwilę w milczeniu, słuchaliśmy nawoływań, szumu silników, patrzyliśmy na białe kitle pielęgniarzy, szare mundury milicjantów. Potem prawie równocześnie otworzyliśmy drzwiczki. Wiał zimny wiatr. Postawiłem kołnierz nieprzemakalnego płaszcza. Odgłosy bezładnej krzątaczki zbliżyły się, spotężniały, jakbym wyjął watę z uszu. Pobrnęliśmy przez błoto ku niewielkiemu wzniesieniu. Stał tam Rosner, wysoki, chudy, obok Tomasz.

– Patrzcie – powiedział Rosner.

Wyglądało to, jak zepsuta dziecinna zabawka. W dole płatanina srebrnych, omytych deszczem szyn, przecięta ciemnorudą smugą, na której mrowili się ludzie, nad nimi zaś dziwaczna kompozycja obwisłych, ciemnoszarych płaszczyzn i prętów, oblepionych betonowymi naroślami. Ten obraz zamykał od góry nie zmieniony, elegancki łuk wiaduktu, skrócony i zniekształcony, bo patrzyliśmy z boku, pod ostrym kątem. Mgła rozmazywała zresztą kontury, łagodziła kontrasty, zdawała się łączyć z sobą usypisko na torach i metalowe balustrady u góry.

Tuż pod nami czterech pielęgniarzy dźwigało nosze po śliskim zboczu, dwu wchodziło bokiem, opuszczając nisko ręce, dwu pozostałych, z wyciągniętymi sztywno ramionami, z trudem utrzymywało równowagę, jakby ich wysiłek potrzebny był jeszcze bezkształtnej masie rozciągniętej na lnianym płótnie.

– Dwa ciągniki z przyczepami – odezwał się Rosner – i autobusy. Nie znam jeszcze szczegółów.

Skinąłem bezmyślnie głową.

– Jest już prokuratura? – zapytał Tomasz.

Rosner odwrócił się nerwowo, spojrzał w dół. Do grupy stojących na skraju drogi samochodów zbliżała się czarna wołga, ostatnia karetka ruszyła właśnie z miejsca, jeszcze chwila, a nie będzie tu lekarzy, to, co stało się o świcie pochmurnego, majowego dnia, straci cechy nieszczęścia, katastrofy, kataklizmu, w którym liczą się tylko ofiary i ludzie niosący im pomoc...

– Zejdźmy do nich – powiedział Rosner – niczego tu nie wystoimy.

Ruszyliśmy się niechętnie. Odchodząc zatrzymałem się jeszcze i spojrzałem po raz ostatni na to, co zostało z wiaduktu. Przez tory biegła rudawa, grzywiasta fala, jakby pękło przerzucone górą koryto wyrzucając z wnętrza gęstą, krzepnącą na powietrzu ciecz. Pełzły po niej, jak wielkie owady, granatowe sylwetki kolejarzy, poruszały się szare plamy robotniczych kombinezonów, gdzieś błyskały okuciami czapki milicjantów. Ich ruchy były już powolne, leniwe, jak ruchy robaków kłębiących się na padlinie. Po drugiej stronie zawracały z trudem jakieś samochody, na ich tle odcinały się białymi plamami hełmy lotnych patroli drogowych.

Przymknąłem oczy, gdzie to wtedy staliśmy, tak, dużo bardziej na prawo, nagle pomyślałem o tym, że chciałbym dotknąć jej ręki, to było zupełnie bez związku i nie na miejscu, ale nie mogłem się od tego pragnienia uwolnić. Owinąłem się szczelniej płaszczem, schodziłem ostrożnie po śliskiej trawie. Za błyszczącą jezdnią wznosił się płaski mur, niskie niebo załamywało się nad nim, spływało gwałtownie w dół, zamykając w ciasnym kręgu stojących na szosie ludzi i samochody z zapalonymi światłami.

– Według pobieżnych obliczeń – mówił wysoki oficer w pelerynie – trzy osoby poniosły śmierć na miejscu. Prócz tego zabrano kilkunastu rannych, zapewne ciężko. Ilu z nich można będzie uratować, dowiemy się nie wcześniej, niż około południa.

Przystanąłem obok Rosnera, słuchałem.

– Panowie? – zwrócił się oficer do Rosnera.

– Jestem dyrektorem Miejskiego Biura Projektów – odpowiedział – moje nazwisko Rosner. Przyjechaliśmy...

– Kto was zawiadomił?

– Dyrektor Dalmostu, wykonawcy wiaduktu.

– Zbyteczny alarm – odezwał się szorstko barczysty, nie ogolony mężczyzna w kapeluszu, z wytartą aktówką pod pachą – będziecie mi potrzebni nie wcześniej, niż jutro. Proszę nie opuszczać miasta bez zezwolenia milicji.

– Gdzie jest prokurator? – zawołał ktoś za nami – świadkowie wypadku czekają.

Mężczyzna w kapeluszu i oficer bez słowa odwrócili się na pięcie i poszli. Młody milicjant z naszywkami sierżanta powiedział dobrodusznie:

– Wracajcie, panowie, do domu. Tu mokro i nic ciekawego już nie zobaczycie.

– Wracamy – warknął Rosner. Wydawało mi się, że wziął słowa milicjanta za kpinę.

Zostaliśmy nagle sami, na pustej jezdni, otoczeni brudną mgłą, zziębnięci. W głębi, za murem, majaczyły oświetlone okna samotnego domu.

– Cholera jasna... – jęknął Rowicki. Nikt nie patrzył na mnie.

Rosner wzruszył ramionami.

– Nie widzę powodu do paniki – rzekł.

– Są ofiary...

– I cóż z tego! – wybuchnął. – Pan nie ma monopolu na wrażliwość, inżynierze.

Zobaczy pan, co ustali śledztwo. Nie my odpowiadamy za jakość materiału ani za dozór techniczny, tylko wykonawca.

– Jedźmy do biura – odezwałem się, po raz pierwszy od chwili, gdy przybyliśmy na miejsce – nie chcę na to dłużej patrzeć.

Ruszyli się. Tomasz wsiadł ze mną i Rowickim do niebieskiej warszawy, Rosner umieścił się w swoim czarnym mercedesie. Cofnęliśmy się ostrożnie wstecznym biegiem, zawróciliśmy. Światła reflektorów rozmazywały się w gęstych oparach mgły.

Tomasz zdjął beret, jasne włosy rozsypały mu się na czole, nadając jego wyrazistej, dziecinnej twarzy wyraz naiwnego zdumienia.

– Zobaczysz, Grzegorz – powiedział – Rosner ma rację.

– Dobrze – mruknąłem – tylko nie dziw się, że mam kaca jak po wiejskim weselu.

– Byłem wczoraj na proszonym bridżu – odezwał się Rowicki – wypiliśmy niedużo, literek, ale tak bym się jeszcze kimnął, że nie macie pojęcia.

Milczeliśmy, nie powinien był tak szybko zmieniać tematu rozmowy, ale zrobiło się jakoś normalniej. Oczywiście nie tylko ja miałem ciągle w oczach ten nierealny obrazek ze zburzonym wiaduktem i pielęgniarzami, wspinającymi się po zboczu – ale było tak, jakby ktoś w trakcie męczącej podróży zatrzymał się przelotem na małej stacyjce i zobaczył, że ludzie piją tu herbatę, witają gości, umawiają się na wieczór, jakby po szynach nie przebiegały dalekobieżne pociągi. Zresztą nie umiem powiedzieć, o czym wtedy myślałem.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Tomasz.

Stanęliśmy na błyszczącym chodniku przed niedużą, nowoczesną kamienicą. Górą wiał mocny wiatr, już się wypogadzało, brudne chmury odsłaniały skrawki wytartej, bladoniebieskiej pustki.

– Radzę wstąpić na setkę! – zawołał kierowca i odjechał, nie doczekawszy się odpowiedzi. Z piskiem hamulców wyskoczył zza rogu mercedes Rosnera i znieruchomiał przy krawężniku.

– Idziecie na śniadanie? – rzucił Rosner przechodząc – za pół godziny spotykamy się w biurze. Inżyniera Rowickiego poproszę za kwadrans.

W bramie minął się z Kotarskim. Po jego minie widać było, że wie o wszystkim.

– Jak ci się podobał widoczek, Grzesiu? – spytał. – Zarobiliśmy sobie na premie, co?

– Strasznie lubię dowcipy – odpowiedziałem z nagłą pasją – wiesz, strasznie lubię dowcipy.

– Nie przejmuj się, chłopie – poklepał mnie po ramieniu – bo wysiadziemy przed terminem.

Wzruszyłem ramionami. Robiło się coraz jaśniej, słońce rozbłyskiwało w oknach kamienic, powietrze drżało nad asfaltem, nasycone setkami drobnych, kłujących lśnień.

– Wiecie co – powiedziałem. – to bardzo śmieszne uczucie. Jakbym wracał z pogrzebu nieznanego wuja. Smutno, ale nie chce mi się jakoś płakać. Więc nie rozczulajcie mnie, dobrze?

Rozstaliśmy się na parterze, jeszcze było pustawo, poszliśmy z Tomaszem do naszego pokoju, ale zanim nadeszły kreślarki, wezwał mnie Rosner.

Tomasz pokiwał mi ręką.

– Nie przejmuj się.

– Śmieszne, czym?

Rosner siedział przy biurku, wyprostowany, sztywny, nieruchomy, ale z całej jego postaci biło skupienie i jakaś nieprzyjemna oschłość, która udzieliła się i mnie, kiwnąłem więc tylko głową w kierunku okna, gdzie, przy stoliku, siedzieli Kotarski – ciężki, blade, niewyspany, i Rowicki, sztywny jak woskowa figura, której włożono między palce palący się papieros – i podszedłem do biurka. Rosner wskazał mi krzesło naprzeciw siebie, nie przy stoliku. Zabawne, zawsze tu wchodziłem jak do baru i dopiero dzisiaj poczułem się jak pijak, którego mogą z baru wyrzucić. Było to przelotne wrażenie, niczym zresztą nie uzasadnione poza moim nastrojem.

Właściwie nie mieliśmy o czym mówić. Projekt zostanie wszechstronnie zbadany przez komisję rzeczoznawców, równolegle prowadzić się będzie analiza materiałów. Wszystko, co mogliśmy zrobić, to przygotować materiały dla komisji.

Wyszedłem po kwadransie, do końca było tak sztywno i nijako, każdy patrzył w sufit i w ścianę, nie wiadomo było, czy składać sobie kondolencje, czy się pożreć, dlatego zachowaliśmy postawę wyczekującą.

W biurze panował codzienny ruch, stłumiony gwar toczył się po korytarzach, ale tkwił w nim jakiś fałszywy ton, zaczajony w szeptach, spojrzeniach i rozmowach, w niewyraźnych uśmiechach i sztucznych, hałaśliwych pokrzykiwaniach, jakimi mnie witano. Z ulgą zamknąłem za sobą drzwi pokoju, ale to nie był koniec, tylko uwertura. Każdy miał dzisiaj do nas jakiś interes, przychodzili, siadali na biurkach, opierali się o stoły, nikt nie pracował, ja, bo nie mogłem, inni, bo mieli ciekawsze zajęcie. Nawet nie umiałbym powtórzyć tych beznadziejnych rozmów, powtarzających się roztrząsań, dziarskich pocieszeń, zresztą wtedy jeszcze nie było źle, dopiero potem, kiedy wyczerpał się repertuar i zaczęło się powtarzanie tych samych formułek – nie można już było wytrzymać.

Właściwie mogłem uciec z biura, pojechać za miasto, w końcu robiłem tak nieraz. Tym razem jednak nie chciałem zostawić ich samych, niech mówią przy mnie, niech nie myślą, że uciekam, żeby się w kącie poużalać nad sobą; zresztą właśnie wtedy i dzięki nim zacząłem się uspokajać, moje wzburzenie rozpływało się w ich życzliwej obecności, nawet ich nachalność miała w sobie posmak pochlebstwa. Toteż, kiedy przed trzecią zrobiło się trochę luźniej, rozmawiałem już normalnie, prawie tak samo jak co dzień. Tamto czekało na dzień pamięci, gotowe w każdej chwili wypłynąć na powierzchnię.

Wyszedłem trochę później, kiedy przewaliła się już główna fala i na korytarzach zapanowała cisza. Byłoby nieznośne, gdyby zaczęli pokrzykiwać ze wszystkich stron: trzymaj się, Grzegorz, wpadnij do mnie kiedy, nie przejmuj się, Grzegorz – z tą manifestacyjną serdecznością, która na pewno przynosiła ulgę, ale też drażniła mnie w niewypowiedziany sposób.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI